

Olga Lipińska

— Zadebiutowała Pani jako reżyser operowy, realizując w Operze Śląskiej „Don Pasquale”. Sądząc po znakomitych recenzjach, nie będzie to Pani jedyna zdrada Telewizji.

— Dyrektor Siess rzeczywiście zaproponował mi następny spektakl do realizacji, ale nie jestem pewna czy będzie miał tyle cierpliwości, jak to miało miejsce przy „Don Pasquale”. Bo kiedy zaproponowano mi reżyserię, szybko na to przystałam, a potem rok zwlekałam z rozpoczęciem pracy...

— Dlaczego?

Po prostu trema przed nowym środowiskiem i nową pracą. W dodatku mnie jako widza opera często denerwuje. I dlatego niezbyt często do niej chodzę.

— To dlaczego zgodziła się Pani na tę reżyserię?

— Lubię reżyserować spektakle muzyczne. W Telewizji zrobiłam nawet operę „Flis” Moniuszki, ale to zupełnie inna sprawa. „Flisa” kręciłam kamerą filmową w plenerze i potem starałam się tak montować obraz, aby był zgodny z rytmem muzycznym. W spektaklu operowym na scenie trzeba było rytm muzyczny realizować poprzez gest i ruch. I tu miałam największe trudności. Nie miałam żadnego doświadczenia w pracy z solistami, ale w końcu udało mi się z nimi porozumieć i osiągnąć to, co chciałam. A chciałam przede wszystkim pokazać cały wdzięk i dowcip muzyki Donizettiego. Starłam się wydobycь śmieszność sytuacji poprzez dźwięki, poruszać postaciami w rytm muzyki.

— Nie wyszedł Pani z tego teatr marionetek?

— Skąd! Były to realne, pełnokrwiste postacie. To, co najbardziej irytuje mnie w spektaklach operowych — to sposób grania. Solista operowy stosuje te same środki wyrazu co aktor dramatyczny, ale ponieważ tekst śpiewa, dramat zmienia się często w farsę. Dlatego trzeba innymi metodami osiągnąć efekt dramatyczny czy komediowy, a nie jest to takie proste. Zaczęłam pracę oczywiście od normalnych działań aktorskich, potem przeszłam krzyżową drogą rozczarowań, wahań i zwątpienia w moje umiejętności. I naprawdę dzięki wielkiej życzliwości i pomocy ze strony dyrektora Siessa — który zresztą dyryguje przedstawieniem — bez specjalnych konfliktów doszło do premiery.

— Nie tylko doszło, ale może Pani zapisać ją sobie na konto sukcesów. Nie ma Pani chyba jednak zamiaru całkowicie poświęcić się reżyserii operowej, bo przecież programy, które robi Pani w Telewizji...

— ...są bardzo różnie przyjmowane. Zresztą to przypadek, że robię programy kabaretowe. W czasie studiów interesował mnie teatr antyczny i moim pierwszym warsztatowym spektaklem w teatrze była „Antyгона”. Ponieważ jednak studiując pracowałam w telewizji, zaczęłam robić programy muzyczne, które najłatwiej mogłam dopasować do czasu, który mi jeszcze



Fot. Z. Nasierowska

pozostawał. I tak powstał kabaret „Mix”, „Listy śpiewające”, programy „Z kobietą w tytule” i powoli mnie to wciągnęło.

— Na tyle, że zaczęła Pani robić własny, cieszący się dużym powodzeniem „Gallux Show”.

— Dostałam po tych programach wiele miłych i sympatycznych listów. Ale dostawałam także listy okropne.

— Który program wywołał największe oburzenie?

— „Gallux”, w którym para przed telewizorem — grali Sienkiewicz i Kociniak — odpowiadała na stawiane przez telewizję pytanie, co chcą zobaczyć, a oni w kółko powtarzali to samo... Jak wiadomo, kabaret nie jest sztuką realistyczną, pokazuje cechy charakteru czy sytuacje wyostrome. Tak więc i to była karykatura agresywnego, ograniczonego widza. I zdziwiło mnie, że ludzie utożsamiali się z tą parą. Większość negatywnych listów zaczynała się: „Czy Pani myśli, że widz jest takim idiotą?!” Nie, proszę państwa, nie myślę, że widz jest idiotą. Wręcz przeciwnie. I właśnie dlatego pokazałam taką parę, która chce nam narzucić swój gust, swój sposób niemyślenia, swoją głupotę i brak tolerancji. Myślałam, że mówię jasno i zmartwiły mnie te listy. Na szczęście są również listy tzw. prostujące. Zaorski w ostatnim „Galluxie” powiedział: „Żegnamy sławne, znane w kraju i za granicą siostry Sisters i przesławny zespół „Moja Faja”. Dostałam potem listy, w których widzowie zupełnie serio przekonywali mnie, że niesłusznie reklamuję te zespoły, bo wcale nie są takie znane, ale widocznie mam z tego jakiś korzyści..

— Czy mimo tych wszystkich, nazwijmy to nieporozumień, myśli Pani o następnym kabarecie?

— Szukam dla niego nowej formy — formy „Galluxu” nie chcę już powtarzać. Przygotowuję teraz dla Teatru TV „Pana Jowińskiego”, bo kabarety to dobra szkoła dla reżysera, ale ja chciałabym znowu robić teatr.

— Więc może jednak dojdzie Pani do teatru antycznego?

— Może. Myślałam już nawet o Arystofanesie, ale niestety przekłady są tak niedobre, że muszę poczekać, aż zainteresuje się nim któryś ze współczesnych poetów.

Rozmawiała
ANNA BORKOWSKA